WICI WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK VII POZNAŃ KWIECIEŃ-MAJ 1937 NR 4-5 (66-67)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARIAN TURWID

Leon Wyczółkowski:



WIATRAK
(Autolitografia)

POECI WIELKOPOLSCY W HOŁDZIE WYCZÓŁKOWSKIEMU

Wielkopolska była „ostatnią ojczyzną" Leona Wyczółkowskiego. W Poznaniu — a następnie w Gościeradzu, na pograniczu Wojew. Poznańskiego i Pomorza spędził wielki artysta ostatnie lata swego twórczego żywota. Zżył się z ziemią naszą serdecznie. Odtwarzał niezmordowanie i nieomal do ostatnich swoich godzin jej piękno, jej zabytki, jej swoisty a niełatwo uchwytny czar. Czar ten przeniknąć zdołał Leon Wyczółkowski bez reszty. Region nasz odkrył mu się bez zastrzeżeń. Bo też znalazł doń wielki artysta jedynie właściwy klucz: Serce.

Najwymowniejszym tego dowodem, to wzruszające życzenia, by — na wieczny spoczynek złożono go wśród naszych pól. Ten dowód miłości był ostatnim w pięknym szeregu trwałych a niejednokrotnie królewskich wręcz dowodów gorącej przyjaźni. Wystarczy wspomnieć bezcenne skarby, jakie złożył Wyczółkowski w darze Poznaniowi i Bydgoszczy. Niezwykła w swej wielkości i bezinteresowności przyjaźń nie pozostała bez odwzajemnienia. Społeczeństwo nasze wielokrotnie składało Znakomitemu Artyście dowody wdzięczności i hołdu. Jednym z nich to piękna „Księga Pamiątkowa" wydana w Poznaniu z okazji osiemdziesiątej rocznicy urodzin Mistrza. Dalej — pięknym wyrazem serdecznych uczuć tej ziemi do Nieśmiertelnego Twórcy i Najczcigodniejszego Przyjaciela — jest głos jej poetów. Młoda poezja wielkopolska urzeczona urokiem tak dzieła jak i twórcy — szeregiem utworów uzewnętrzniła powszechny podziw, zachwyt i kult regionu dla jednego z największych artystów polskich.

W bieżącym zeszycie Wici Wielkopolskich publikujemy kilka utworów poetów wielkopolskich poświęconych Leonowi Wyczółkowskiemu.

Józef Birkenmajer:

U ŹRÓDŁA...

(W 940 ROCZNICĘ ZGONU ŚW. WOJCIECHA...)

Prawdziwym szczęściem dla narodu i państwa polskiego w zaraniu jego dziejów byli dwaj bracia-Słowianie, synowie księcia na Lubicy i Kładzku, Sławnika: Wojciech i Radzim. Obaj oni, jak to pięknie i przekonywująco wykazał niegdyś Potkański, byli obok Mieszka i Bolesława Chrobrego współtwórcami naszego państwa. Ich wspólne dzieło — suwerenne arcybiskupstwo gnieźnieńskie, ustanowione u grobu św. Wojciecha w pamiętnym r. 1000 — było w chwilach rozbicia Polski, spowodowanego bądź upadkiem Mieszka II, bądź wygnaniem Bolesława Śmiałego, bądź nieszczęsnym testamentem Bolesława Krzywoustego, oraz w chwilach najcięższych ataków na Polskę od Wschodu i Zachodu, jedyną spójnią narodu polskiego, jedynym ośrodkiem, łączącym jeszcze i krzepiącym serca Polaków, jedynym widomym znakiem naszej niepodległości politycznej i zadatkiem przyszłego zjednoczenia państwowego. Ale na tym nie wyczerpuje się znaczenie obu braci w naszych dziejach. Równie wiele, co w dziedzinie politycznej, zawdzięcza im nasza kultura, tak za ich życia, jak i w czasach następnych.

Dowody uznania dla tej kultury w latach Bolesławowskich płyną ze strony osób współczesnych, stojących na najwyższym poziomie kulturalnym: ze strony światłego papieża Sylwestra II, jego ucznia cesarza Ottona III, mądrej księżniczki Matyldy, niepospolicie wykształconego Brunona z Kwerfurtu... Uznanie to, prawdę mówiąc, spotyka tylko pośrednio Bolesława Chrobrego i jego syna Mieszka II; właściwe pochwały zmierzają w stronę tych, którzy byli ściślejszymi i ważniejszymi promotorami polskich spraw kulturalnych, a więc w stronę obu braci Sławnikowiczów. Oni to, wykształceni w najprzedniejszych uczelniach ówczesnych — w Magdeburgu, Cassinum, Vallelucio, Rzymie (Awentyn), Fleury — żyjący w bezpośrednim kontakcie z najwybitniejszymi uczonymi i literatami świata ówczesnego, — słynni jako miłośnicy ksiąg i pieśni, byli pierwszymi *homines litterati* na ziemiach polskich, piewszymi, którzy wraz ze światłem chrześcijańskiej wiary przynieśli na ziemię polską światło chrześcijańskiej kultury.

I kultura ta nieraz jeszcze w wiekach następnych będzie się rozwijała pod ich znakiem. Gdy weźmiemy np. sztuki plastyczne, to najdawniejszym ich zabytkiem na ziemiach polskich — i to zabytkiem jakże cennym i ciekawym! — będą słynne drzwi katedry gnieźnieńskiej, przedstawiające żywot św. Wojciecha. Imię św. Wojciecha jawić się będzie nieraz na pierwszych stronach postanowień prawnych, w dekretach i statutach. Ono to będzie zaraz na wstępie spotykało każdego, ktokolwiek zajmie się którąbądź dziedziną naszego piśmiennictwa — czy to poezją czy prozą. Ono dźwięczy w rozpowszechnionych już z początkiem XI wieku sekwencjach kościelnych, sławiących po całej Europie Polskę i jej pierwszego patrona. W dwa wieki później dekret najwyższej w Polsce władzy duchownej, zmierzający do zespolenia i scalenia rozbitego dziedzictwa piastowskiego, nakazuje, aby we wszystkich kościołach polskich była śpiewana *historia sancti Adalberti.* Stara tradycja, nie obalona dotąd ani jednym poważnym naukowym argumentem, podaje św. Wojciecha za autora pieśni „Bogarodzica", nazwanej słusznie jakoby pierwszym polskim hymnem narodowym. „Pociechą wojska" — *consolatio exercitus* — nazywają św. Wojciecha już źródła z XI wieku, a tę właśnie rolę pokrzepiciela serc rycerskich przypisują mu i kroniki polskie, począwszy od t. zw. Galla (w opisie walk Bolesława Krzywoustego z Pomorzanami w r. 1105).

Jeżeli pełne imienia św. Wojciecha, a także i brata jego Radzima-Gaudentego, są kroniki polskie i obce mówiące o dawnych naszych dziejach, to już całkowicie na plan pierwszy wybija się ich rola w dwóch niepospolitych utworach, stojących u zarania zarówno naszej historii jak i naszej literatury.

Utworami tymi są życiorysy i pasje (opisy męczeństwa) św. Wojciecha, będące bardzo ważnymi źródłami historycznymi, zarówno przez obfitość materiału, jak i przez wczesną datę swego powstania i związaną z tym wiarygodność, a ponad to należące do najlepszych zabytków literackich średniowiecza, zdumiewające mistrzostwem stylu, rytmiki i języka.

Autorem drugiego z tych życiorysów jest ponad wszelką wątpliwość Bruno z Kwerfurtu, naśladowca pracy apostolskiej św. Wojciecha i Radzima, przyjaciel i wielbiciel Bolesława Chrobrego, obrońca jego polityki w słynnym liście do cesarza Henryka II, wykazującym te same cechy stylistyczne co ów życiorys. Co się zaś tyczy autorstwa pierwszego, starszego życiorysu, napisanego przed r. 1002, zdania są podzielone. Znakomity wydawca „Monumenta Germaniae", Pertz, bez poważnych dowodów przypisał je mnichowi awentyńskiemu Janowi Canapariusowi, o którym jest przygodna wzmianka w tekście życiorysu; sąd taki powtórzono niebawem w „Monumenta Poloniae" Bielowskiego i nieraz się go jeszcze bezkrytycznie powtarza, jakkolwiek już dawno poważni badacze wykazali jego bezpodstawność, zwłaszcza brak jakiegokolwiek dokumentu, któryby potwierdzał autorstwo Canapariusa. Tradycja dawna przypisywała ów żywot bądź papieżowi Sylwestrowi II, bądź bratu św. Wojciecha, pierwszemu arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, wspomnianemu już Radzimowi-Gaudentemu.

Najpoważniejsze argumenty przemawiają za autorstwem Radzima, które przyjmuje większość historyków, począwszy od Semkowicza i Wojciecha Kętrzyńskiego, a skończywszy na Stanisławie Zakrzewskim i kilku wybitnych badaczach dzisiejszych; za autorstwem papieża Sylwestra II obstawał do niedawna bodaj tylko ks. Fijałek. W ostatnich latach pojawiło się jeszcze jedno mniemanie — dotychczas nie poparte argumentacją naukową — jakoby ów życiorys był wspólnym dziełem mnichów awentyńskich. Przeciwko takiemu mniemaniu przemawia uderzająca jednolitość stylistyczna całego życiorysu, obca podobnym kompilacjom; względy stylistyczne — wraz z kilku względami natury historycznej — przemawiają również i przeciwko autorstwu Sylwestra II, którego inne pisma są przecie znane. Ponieważ, jak to już słusznie podkreślał Kętrzyński, autor życiorysu zna najintymniejsze sprawy św. Wojciecha: jego wewnętrzne przeżycia, jego rozmowy, które nie miały innych uczestników, jego czyny, które nie miały innych świadków, prócz najwierniejszego towarzysza wszystkich jego kroków i jedynego zaufanego powiernika, jakim był ukochany brat Radzim, przeto wprost niepodobna przypuścić, żeby to nie od niego, nie od Radzima, miały pochodzić spisane informacje o tych sprawach... Więc choć na najstarszym (kasyńskim) rękopisie „Żywotu św. Wojciecha" (pocz. w. XI) figuruje nazwisko Sylwestra II — nie jako autora zresztą — sprawy nie przesądza; życiorys pisany był *dla papieża* i niewątpliwie



L. Wyczółkowski: „WOŁY"

na jego życzenie (dla celów kanonizacyjnych, jak się trafnie domyśla ks. Fijałek), może nawet korygowany był jego ręką lub pod jego okiem, w jego kancelarii, — ale zarówno opis ziemi pruskiej, jak informacje o państwie Chrobrego, jak dokładne szczegóły z historii rodziny Sławników, jak wielce trudne nazwiska słowiańskie różnych Czechów i Polaków nie mogły przecie samorzutnie wypłynąć z pod pióra Francuza Gerberta-Sylwestra II, ani Rzymianina Canapariusa. To wszystko mógł przekazać ogółowi ludzkiemu *tylko jeden Radzim*, syn Sławnika, najmłodszy brat wymordowanych okrutnie udzielnych książąt Lubicy i Kładzka, oraz pozostałych przy życiu Sławnikowiców: Sobiebora i Poraja, najlepszy powiernik i wychowanek jeszcze jednego z braci św. Wojciecha, jedyny — prócz Polaka Boguszy — towarzysz jego wyprawy do Prus... Więc jeżeli Dygasińskiego uważamy za autora „Godów życia", pomimo wszelkich „poprawek", jakie do tekstu jego powieści wnosili redaktorowie pism warszawskich, jeżeli autorem „Parzivala" pozostanie Wolfram z Eschenbachu, a nie ten skryba, któremu niezbyt rączy do pióra „Dichter", rycerz-poeta dyktował swój imponujący poemat, tak też — choćbyśmy przyjęli wszelkie hipotezy uczonych o opracowaniu życiorysu św. Wojciecha przez grono klasztorne awentyńskie czy przez papieża Sylwestra lub jego kancelarię — autorem właściwym wspaniałego zabytku literatury średniowiecznej, jakim jest „Żywot św. Wojciecha" pozostanie ostatecznie pierwszy arcybiskup gnieźnieński, syn księcia Sławnika Radzim godła Róża *(Rosensis)*, brat palatyna polskiego Sobiebora, praojca wielu polskich rodów Poraja, i pierwszego biskupa-misjonarza Polski św. Wojciecha. Sam więc „Żywot" mamy prawo uważać nietylko za najdawniejszy nasz dokument historyczny, nietylko za najwcześniejszy glejt naszej cywilizacji chrześcijańskiej, ale i *za pierwszy — zachowany w niemal współczesnym odpisie i w autentycznym brzmieniu — pomnik naszej literatury.* Pomnik niezmiernie ciekawy w swej treści, a zasługujący też na uwagę — jak wspomniałem — przez swą *artystyczną formę literacką*, stawiającą go na jednym z ważnych miejsc w piśmiennictwie dorobku całego średniowiecza.

I trzeba ze wstydem powiedzieć, że pomnik ten jest najmniej znany tym, których najwięcej powinien obchodzić i którzy najwięcej nim powinni się szczycić, a mianowicie Polakom. Mamy wprawdzie o nim sporą wiązkę prac naukowych (niektóre z nich wymieniłem powyżej), te jednak, zagubione w specjalnych wydawnictwach, dla szerszego ogółu nie są zgoła dostępne. Co gorsza, nawet badacze naukowi u nas bardzo często skazani są na korzystanie z przestarzałego i nie mogącego dziś zadowolić tekstu, zawartego w „Monumenta" Bielowskiego. O uprzystępnieniu tekstu „Żywota" szerszym kołom czytelników polskich nie pomyślał nikt dotychczas. Niemcy i Czesi oddawna mają bardzo cenne przekłady życiorysów św. Wojciecha — my jeszcze nie mamy ani jednego... Nie dziwne więc, że wobec tak uporczywego omijania źródeł mogą się szerzyć u nas różne osobliwe hipotezy, różne fałszywe, na niczym nie oparte poglądy i twierdzenia, powtarzane nieraz i przez szerszy ogół. Hipotezy takie biorą się nie tylko z typowego lenistwa pewnych ludzi, wolących chwytać pierwszą lepszą zasłyszaną pogłoskę, niż sprawdzać fakty na podstawie autentycznych dokumentów; drugą przyczyną bywa i złość ludzka, tendencyjność, starająca się bądź postawić w stan oskarżenia kogoś ze swoich osobistych czy ideowych przeciwników, bądź też tuszować, zacierać sprawy komuś niemiłe, odwracać od nich powszechną uwagę. *Dla tego też* podobno nie pomyślano u nas dotychczas o tłumaczeniu życiorysów świętego Wojciecha. *Są i w nich sprawy niektórym ludziom dzisiejszym bardzo nie miłe...* Prawda, co w oczy kole.

Jedną z tych spraw są przyczyny i powody, dla których święty Wojciech opuścił dwukrotnie stolicę biskupią w Pradze czeskiej, udając się najpierw do Rzymu, następnie do Polski.

Na ten temat zrodziła się w zeszłym stuleciu hipoteza, najgorliwiej popierana przez historyków odnoszących się z tendencyjną nieprzyjaźnią do Polski i do katolicyzmu, a grawitujących bądź ku prawosławiu bądź ku środowisku żydowskiemu. Głosili oni, jakoby przyczyną opuszczenia stolicy biskupiej w Pradze przez św. Wojciecha było „prześladowanie" przez niego obrządku słowiańskiego, „fanatyzm rzymski" św. Wojciecha, jego „gorliwość łacinnika, narażająca go na kolizję z żywiołem narodowym" i t. p. i t. p. Podstawę tych i podobnych opowieści stanowiły albo późne — z końca XV wieku pochodzące — zapiski prawosławnego diaka z głębi Rosji, albo też pełne rzeczowych błędów hipotezy Gumplowicza i tow. wyolbrzymiające znaczenie ówczesnych różnic pomiędzy obrządkami chrześcijańskimi. Te wszystkie hipotezy spotykały się od samego początku z poważnym sprzeciwem ze strony rzetelnych

i poważnych badaczy historii polskiej, takich jak Lelewel, Anatol Lewicki, Prochaska, Potkański, Stanisław Zakrzewski i inni, którzy na podstawie źródeł wskazywali, że św. Wojciech nie tylko nie „prześladował" żadnego z obrządków, ale sam był sympatykiem obrządku greckiego, że do mnichów bazyliańskich chciał wstąpić, a mnichom słowiańskiego obrządku klasztor ufundował. To samo stwierdzali nieraz badacze obcy, jak Voigt i inni. Ostatecznie sprawę rozstrzygnął niedawno czeski uczony, prof. Wacław Chaloupecky, udowadniając, że zapiski owego diaka ruskiego powstały z mylnego przepisywania źródła (gdzie wyrażenie oryginału „woi łatinskie" — t. j. „rycerze łacińscy" przekręcono na „Wojtiech", przy czym jeszcze ów ciemny diaczek pomieszał Rusów z Prusami!), oraz, że św. Wojciech dał wiele dowodów sympatii dla obrządku wschodniego w języku słowiańskim.

Nie obrządkowe zatym konflikty wygnały św. Wojciecha z Pragi. O takich konfliktach nie mówią źródła *ani słowem! Konflikty były zgoła innej natury — i o tym właśnie mówią wszystkie źródła zgodnie, wyraźnie i dokładnie.*

Jakież to były konflikty? Przedstawimy je zwięźle poniżej, streszczając niektóre rozdziały życiorysów świętego Wojciecha i uzupełniając je kilkoma szczegółami objaśniającymi, zawartymi w późniejszej kronice Kosmasa.

1. *Pierwszym konfliktem był konflikt polityczno - dynastyczny. Ojciec św. Wojciecha,* Sławnik, *był* — jak wiadomo — *udzielnym księciem,* władnącym dość znaczną krainą, której niektórzy historycy (jak Loserth i inni) chcą nadać spotykaną zresztą w źródłach nazwę „Charwacji" czy „Chrobacji". Stolicą tego państwa była Lubica (dziś Libice), a sąsiadowało ono z Polską i Czechami. *Przemyślidzi* czescy dawno zamierzali księstwo to zagarnąć i przyłączyć do swoich posiadłości. Istotnie po śmierci Sławnika plan swój wykonali. W r. 995 w sam dzień św. Wacława (28 września) nasłani przez nich siepacze wpadli podstępnie do Lubicy i w ciągu jednego dnia wymordowali *wszystkich znajdujących* się tam *Sławnikowiców* oraz ich drużynę, *a całe księstwo zostało przyłączone do Czech.* Fakt ten, który wstrząsające wrażenie wywarł na bawiącym wówczas za granicą św. Wojciechu, skłonił ostatecznie biskupa praskiego do wyrzeczenia się raz na zawsze powrotu do Pragi.

2. *Drugi konflikt* był *o samą katedrę biskupią w Pradze.* Po śmierci pierwszego biskupa praskiego Dytmara Przemyślidzi upatrzyli sobie na nią następcę w osobie jednego ze swej rodziny, a mianowicie Krystiana — *Strachkwasa* (zwanego też Stracikwasem), mnicha benedyktyńskiego z klasztoru św. Imbrama koło Ratysbony, a brata księcia czeskiego Bolesława Pobożnego. Tymczasem stało się wbrew ich oczekiwaniom. Lud praski nie chciał Strachkwasa, a na biskupa powołał jednogłośnie (co nawet za cud Boży uznano) młodego kleryka Wojciecha, który bawił w Pradze podczas drogi powrotnej ze szkoły magdeburskiej... Odtąd obrażony Strachkwas i jego krewniacy poczęli prowadzić wyraźną kampanię przeciwko elektowi ludu praskiego. Święty Wojciech, widząc zazdrość Strachkwasa i jego nieprzebierające w środkach intrygi, chciał odstąpić mu godność biskupią. Zawstydzony Strachkwas wprawdzie nie przyjął tej rezygnacji, nie mniej do celu swego zdążał wytrwale (np. w czasie swego posłowania do Rzymu) — aż wkońcu go osiągnął: ku nieszczęściu Prażan i własnemu został istotnie biskupem praskim po swoim rywalu i synu znienawidzonej przezeń dynastii...

3. *Trzeci konflikt był natury dyplomatycznopolitycznej.* Sławnik i jego synowie mieli przymierze najpierw z Mieszkiem I (występując w podobnej roli wobec cesarzy Ottonów, a następnie z tegoż synem Bolesławem Chrobrym, wobec którego pozostawali niemal w stosunku wasalstwa, czego dowodem jest to, że dwaj bracia św. Wojciecha, Sobiebor i Poraj (przez niektórych historyków uważani jakoby za jedną postać), bawią na dworze Chrobrego, zyskując sobie tu wysokie godności. Wszak Sobiebor jest palatynem polskiego władcy i nawet dowodzi jego wojskami w czasie najazdu na Czechy (1003), który jest jakby odwetem za wymordowanie synów Sławnika przez Przemyślidów. Jak jego ojciec i bracia, tak i św. Wojciech prowadził od samego początku niewątpliwie *politykę polonofilską,* której uwieńczeniem było jego przybycie na czas dłuższy wraz z Gaudentym na dwór Chrobrego w Gnieźnie w roku 996. O tym, że już dawniej kontakt jego z Polską i Polakami musiał być silny (nie jest rzeczą niemożliwą, że już jako biskupowi praskiemu przysługiwała mu zwierzchność nad organizującą się od pierwszych lat panowania Mieszka I diecezją krakowską), świadczy jego *dobra znajomość polszczyzny,* stwierdzona współczesnymi źródłami: oto np. św. Wojciech, wybierając się do Prus, bierze z sobą Polaka jako tłumacza.

4. *Czwarty konflikt był natury społecznej.* Święty Wojciech całe życie swoje poświęcił wspomaganiu i ratowaniu ludzi ubogich, słabych, uciśnionych i skrzywdzonych. *Był to demokrata i filantrop na skalę wręcz olbrzymią:* i demokratyzmu i filantropii mogliby się od niego uczyć ci, którzy w XX wieku lubią się hasłami tymi, jako czymś nowym, popisywać. Wszelkie skarby, jakie dostał od cesarzowej Teofano, w jedną noc rozdał ubogim i wyruszył w świat, mając na sobie jedną tylko odzież i ani grosza przy duszy. Z dochodów i majętności swego biskupstwa niemal nic nie obracał na własne potrzeby — bo nawet poduszkę, która mu do snu na gołej ziemi służyła, oddał na przyodziewek nędzarzowi. Ale ze wszystkich nędzarzy, ze wszystkich ludzi ubogich i skrzywdzonych, jacy byli w państwie Przemyślidów, najnędzniejsi, najubożsi i najbardziej skrzywdzeni byli nie dziady kościelne, którym proboszcz katedralny Wiliko stałą wydzielał jałmużnę ze szkatuły biskupiej, nie żacy, którym chłosta stanowiła stałą przyprawę nauki, nie kmiecie, uprawiający ciężko kawał gruntu, nie mrąca nieraz od zarazy ludność miasta i przedmieści, nawet nie ta niewiasta, której ani prośby biskupa ani azylum kościelne nie zdołały uratować przed zaciekłą zemstą Werszowców... O nie! Nad wszystkich żebraków, wszystkich kaleków i chorych (których szpitale biskup sam osobiście nawiedzał), nad wszystkich pracowników, utracjuszów, egzulantów i banitów, byli jeszcze w owym kraju ludzie znacznie nieszczęśliwsi, bardziej skrzywdzeni i upokorzeni...

Tymi nieszczęśnikami, którzy cierpieli wówczas najgorszą na tym świecie niedolę, byli — niewolnicy.

Piszą o nich szczegółowo różne źródła ówczesne, a także i wszystkie życiorysy świętego Wojciecha. Było haniebnym obyczajem książąt i panów czeskich — naśladowanym zresztą i przez niektórych władców polskich, jak przez smutnej pamięci Mieszka III Starego — iż ilekroć zadłużyli się lub potrzebowali pieniędzy, *sprzedawali masowo swoich poddanych w niewolę żydowskim bankierom i handlarzom żywego towaru.* Wprost niedający się opisać był los tych białych murzynów ówczesnych, których Żydzi gnali jak bydło przez całą Europę na targowiska arabskie i bizantyńskie, gdzie żywego towaru słowiańskiego gromadziło się tak wiele, że aż imię Słowian — *Slavi, Sclavi, Sclavini, Sclavoni, Esclavi, Sklabini, Sklabenoi, Sklauenoi, Saklaba* i t. d. — stało się we wszystkich językach europejskich i niektórych azjatyckich synonimem niewolnika. Była to pierwsza „zdobycz kulturalna", jaką na ziemie słowiańskie zanieśli Żydzi...

Ona największa hańba wieków średnich, jaką był żydowski handel niewolnikami, była dla św. Wojciecha wprost



L. Wyczółkowski: „AUTOPORTRET"

śmiertelną zgryzotą. Myśl o tym budziła go w noce samotne, kiedy we śnie ukazywał mu się Chrystus umęczony i wołał z gorzkim wyrzutem: „Wojciechu, ty pozwalasz, żeby mnie drugi raz sprzedawano oprawcom żydowskim? Pozwalasz, żeby kupczono krwią chrześcijańską?" On, który był dumny z nazwy Słowianina i zawsze o sobie mówił wobec obcych: *„Sum Slavus"*, on który za śmiałe używanie mowy słowiańskiej brał chłostę od surowego nauczyciela w Magdeburgu, on, o którego ukochanej matce Strzeżysławie napisano, że była *„Slavorum de genere orta"*, musiał znosić to, że braci jego Słowian sprzedawano za judaszowe srebrniki, że ich katowano i pędzono w obce kraje, że kazano się im wyrzec wszelkich praw człowieczych, że wreszcie *samo imię Słowianina staje się najgorszym przezwiskiem i czymś niemal równym z nazwą roboczego zwierzęcia...*

Była to, jak świadczą życiorysy, największa chyba tragedia w bolesnym życiu tego Księcia Niezłomnego z rodu Sławników. Nie mógł jej zaradzić niczym; ani przeznaczeniem na ten cel wszystkiego mienia, ani zadłużeniem się, ani budzeniem sumienia winowajców. Jak mówią źródła, *zatarg na tym tle powstały stał się ostateczną i bodaj główną podnietą pierwszego ustąpienia z Pragi i ucieczki do Rzymu, w celu zawiadomienia papieża* Jana XV o rezygnacji z urzędu biskupiego i jej przyczynach, następnie zaś odprawienia (niedoszłej do skutku wskutek zabiegów klasztoru w Monte Cassino) pielgrzymki ekspiacyjnej do Jerozolimy.

5. Wobec tego najważniejszego i najsilniejszego konfliktu na drugi plan poniekąd schodzi nawet silny bardzo skądinąd *konflikt piąty,* jakim było *zwalczanie przez biskupa pogańskich obyczajów,* zakorzenionych jeszcze silnie w narodzie czeskim, a zwłaszcza rozpowszechnionego nadzwyczaj *wielożeństwa możnych oraz małżeństw księży.* Złe obyczaje stolicy były podłożem i okazją do starć codziennych i przez to może zniechęcały niejednokrotnie św. Wojciecha do sprawowania rządów biskupich. Jednakże niechęć to jeszcze nie to samo co postanowienie. A postanowienie św. Wojciecha, by porzucić godność biskupią, wypływało, jak świadczą źródła, najpierw z intryg Strachkwasa, — wtedy to biskup po raz pierwszy wypowiedział zamiar rezygnacji, — następnie — bezsilności wobec krzywdy, wyrządzanej biedocie słowiańskiej przez książąt, wielmożów i Żydów, — wtedy to biskup *po raz pierwszy uszedł z Pragi do Rzymu,* — na koniec dopiero i niezadowolenia, wywołanego reformami moralnymi, zwalczaniem wielożeństwa i t. d., — *wtedy to św. Wojciech po raz drugi uszedł* do Rzymu, — wreszcie zaś z wymordowania książąt lubickich przez Przemyślidów i całkowite związanie się pozostałych przy życiu Sławnikowiców z polityką Bolesława Chrobrego: — *wtedy to św. Wojciech udaje się do Polski,* stąd zaś, zgodnie z polityką władcy polskiego i własnym pragnieniem męczeństwa, do Prus...

Tak to w świetle autentycznych i wiarygodnych źródłach przedstawia się istotny cel i najgłębszy dramat życia świętego Wojciecha, tego anielsko czystego, niezrównanymi zdolnościami i wiedzą jaśniejącego, wielkiego umysłem i daleko idącymi ideami człowieka, którego jeden z najgłębszych jego czcicieli, znawców i miłośników, Stefan Żeromski, nazwał słusznie *„najpiękniejszą postacią średniowiecza".* Tymi to drogami chodziły nie tylko *Vita et Passio,* ale i myśl tego świętego i genialnego działacza, który był *przewodnikiem i natchnieniem największych władców ówczesnych,* przed *którego zgonem pochyliła się w hołdzie cała Europa, całe chrześcijaństwo greckich i łacińskich obrządków.* Którego myśl i wspomnienie zdolne były jeszcze po wiekach budzić do życia rozbite kraje i szczepy... Którego myśl również na polu społecznym wyprzedzała wieki całe.

Bo ta myśl — myśl człowieka cierpiącego, męczennika ofiarującego Bogu i ludziom całe życie — była dalsza, niż wieki. Szła ku wieczności.

To wszystko wyczytać można w tym świetnym utworze piśmiennictwa, jakim jest stary życiorys św. Wojciecha, powstały na przełomie X i XI wieku. Nie będzie on zgoła przestarzały w wieku XX — będzie mógł się nawet wartością literacką mierzyć z wieloma tegoczesnymi utworami.

W każdym razie i jako źródło historyczne i jako dzieło literackie jest ta rzecz z przed dziewięciu wieków stokroć cenniejsza i bardziej zasługująca na poznanie, aniżeli niedołężne i trącące grubą ignorancją historyczną zapiski ciemnego diaka z końca XV wieku, galwanizowane i łatane sztucznymi hipotezami przez takie firmy, jak Gumplowicz i Spółka lub jak błagorodnyj Iłowajskij, wraz z ich sukcesorami i klientami. Zwłaszcza że te hipotezy były (i są jeszcze niestety) fabrykowane przez ludzi, którzy o chrześcijaństwie, jego zasadach, dogmatach i obrządkach nie mają najmniejszego pojęcia. Nie bójmy się poznawać tych spraw — u źródła.

Jan Sztaudynger:

PSIAKREW MALOWAĆ!

(MISTRZOWI LEONOWI WYCZÓŁKOWSKIEMU

Pieni się szumnie, jak mydło
Mleko u pysków piany,
Leniwie, para za parą
Stąpają woły zziajane.

Krajobraz idzie w głąb,
Gdzieś w dali staje się błękitem,
Mierzą za krokiem krok
Woły swą dolę kopytem,

Wszystko się przeinacza, wszystko się przeistacza,
Ból — aż do trzewi i siódmy pot stają się tylko pejzażem
Bo mistrz, nieczuły jak Bóg,
Tak każe. —

Nie ma wołu, mozołu
Nie ma oraczy i pracy,
Są koła — koła światła
i wszystko się inaczy,

Niech będą pochwalone fioletowe wonie,
I mistrza upojone, oczarowane dłonie,
Niech będą pochwalone zapamiętałe oczy,
Otwórzmy mistrza bok!
Fiolet, fiolet broczy.
Stąpajmy po kolana, wyżej, po nozdrza zalani,
Gdzie każe, choć sam nie wie, do nieba, czy do otchłani.

Co znaczy, gdzie pójść? Czy w niebo, czy w piekło,
Bóg z nim, i Bóg z nami.
Namalować, namalować, namalować,
Dosadnemi, kipiącymi barwami.

Przez linię, przez bryłę, przez farbę
Czy w niebo, czy w piekło nas prowadź!
Psiakrew, psiakrew, psiakrew,
Malować, malować, malować!!

Stanisław Helsztyński:

PADEREWSKI, SIENKIEWICZ I PRZYBYSZEWSKI

W kwietniu i maju r. 1898 przebywając w Paryżu spotykał się Przybyszewski w koloni polskiej z drem Kazimierzem Dłuskim, który zwrócił się do Ignacego Paderewskiego z prośbą o udzielenie zapomogi dla autora „Homo sapiens" znajdującego się w nie świetnych warunkach finansowych. Wielkodushny mistrz tonów nie pozostał głuchy na prośbę przyjaciela przeznaczając dla poety 5.000 franków. Sprawę tę omawiam w „listach" Przybyszewskiego, tom I, poz. 235. Już po ukazaniu się książki nadesłano na moje ręce list Ignacego Paderewskiego będący odpowiedzią na podziękowanie Przybyszewskiego za wspaniałomyślny dar. Ogłaszam go tutaj po raz pierwszy.

Rok następny, 1899, przyniósł Przybyszewskiemu również znaczne stypendium, tym razy ze strony Henryka Sienkiewicza, który otrzymawszy od jednego ze swych wielbicieli po napisaniu „Trylogii" podarunek w sumie 30.000 rubli, złożył je do rąk Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie z tem, że odsetki — 800 fl. — pobierać będzie artysta polski odbywający kurację w jednem z uzdrowisk. W czasie pobytu Przybyszewskiego w Zakopanem, latem 1899, Sienkiewicz dowiedziawszy się, że Przybyszewski zaniemógł, odwiedził go. Spotkanie to opisują za Boyem-Żeleńskim „Listy", tom I, poz. 299. Redaktor „Zycia" odwzajemnił się widocznie podarunkiem którejś z swych książek. Sienkiewicz podziękował krótkim liścikiem, który przechował się w posiadaniu p. Zofii Bielańskiej w Warszawie. Również ten list drukują „Wici" po rez pierwszy. Oto teksty:

I.

Monsieur Stanislas Przybyszewski Paris 14, Rue de l'Abbé de l'Epéc, envoi de J. I. Paderewski Morges — Suisse; st. nd. Morges 6. 7. 98, st. odb. Kongsvinger, Suéde, 10. 7. 98.

Morges 5 Lipca 1898.

Szanowny Panie!

Przez parę ostatnich tygodni bawiłam w Londynie i wczoraj dopiero list Pański otrzymałem. Zapowiedziany jednak utwór nie przypadł. Czekać nań będę niecierpliwie.

Możność oddania Panu usługi była dla mnie przyjemnością. Poczciwe a polskie słowa Pańskie dały mi chwilę wielkiej, serdecznej radości. Dziękuję Panu za nie sercem całem i ściskam przyjaźnie dłoń Pańską.

I. I. Paderewski.

Wł.: Z. Bielańska, Warszawa.
I (II—IV) 20×12,5.

II.

Wielmożny Pan
Stanisław Przybyszewski
Fingerówka (Zakopane)
30. VII. 99.

Szanowny Panie.

W imieniu mojej córki, której w tej chwili niema w domu, dziękuję najmocniej za przysłany jej snopek klejnotów.

Załączam wyrazy poważania i serdeczny uścisk dłoni.

H. Sienkiewicz.

Wł.: Z. Bielańska, Warszawa.
I(II—IV) 17,5×11,5.

Do końca życia pamiętał Przybyszewski o przysłudze wyświadczonej mu przez Paderewskiego w r. 1898 w Paryżu. Dał temu wyraz w „Moich współczesnych" t. I, str. 286. Z gorącego tego dytyrambu przytaczam jedno zdanie: „Jak będę miał kiedyś pieniądze, to kupię taki gruby, taki ciężki łańcuch, jaki widziałem opasujący całą katedrę San Juan de los Rayes i poślę go tam z szczerozłotym napisem: „Paderewski wyzwolił Przybyszewskiego"...

Z Sienkiewiczem w r. 1903 rozszedł się Przybyszewski ideowo w czasie głośnej ankiety o repertuar pesymistyczno - zmysłowy. Na wyniosłą odpowiedź autora „Trylogii" o rui i porubstwie Przybyszewski zareagował listem otwartym w „Słowie". Por.: wydanie moje „Listów" Przybyszewskiego, tom I, poz. 449. Literaturę opisu podaje przypis 1.

Przytoczone powyżej dokumenty rzucają autentyczne światło na stosunek trzech wybitnych mężów z epoki Młodej Polski.

Warszawa, kwiecień 1937.



Leon Wyczółkowski:
CISY Z BORÓW TUCHOLSKICH

Marian Turwid:

OCZY WYCZÓŁKOWSKIEGO

Oczy — nierówne oczom...
Są
co zapalają
i takie są co gaszą,
co każdą radość zmroczą,
zamrożą i wyszydzą
w ślepocie blaski tając
i milcząc — jak zaklęte..
I oczy są — ze wszystkich najbardziej niepojęte —
które — — widzą!

— — — — — — — —

Napróżno je zakrywasz ścianami grubych szkieł
i cofasz w zakamarki głębokich oczodołów.
Napróżno marszczysz brew —
każesz się srożyć czołu...
Wiemy:
spod skąpych powiek
nie patrzy groźny lew,
lecz z za błękitnych mgieł
w tęczówek krąg ujętych
spogląda ku nam Ktoś najbardziej niepojęty
— — Człowiek!

— — — — — — — —

Człowiecze oczy widzące:
bezcenny skarb!
lampki słońcami płonące!
szkatułki pełne farb!
zwoje najczulszej błony!
soczewek przedziwny trud,
by film był bez przerwy kręcony,
by między jawą i snem —
nocą i dniem —
toczył się toczył...
Bo ludzkie oczy:
aparat marki — „Cud".
A szczyt produkcji bożej oczywisty:
— Oczy artysty.

— — — — — — — —

Błogosławione oczy, które wiedzą:
Widzieć — nie starczy brać!
Widzieć
to dawać —
spojrzeń smugi słać,
by w reflektorów promieniu
zakwitło — co marło w cieniu,
by pod palącą ich mocą
dzień wstawał nocą
a zima ożyła wiosną
pod spojrzeń ulewą radosną...

— — — — — — — —

Patrzymy:
Leży świat — — powszedni, brudny, szary...
Tyś spojrzał —
świat jak kwiat
w cud zakwitł nie do wiary!
Piękniejszy niż anemony,
róże,
dziewanny,
kaczeńce...
Spojrzałeś —
natura jak panna
krasnym spłonęła rumieńcem!
Spojrzałeś —
srebrem światła dni zajaśniała szarzyzna
a monotonię brudu w barw przemieniłeś kapelę!
O nie odwracaj tych oczu
Czarnoksiężniku Boży
w których spojrzeniu Ojczyzna,
jak sad w porannej zorzy
w królewską się stroi niedzielę!

Alfons Szyperski:

REGION ZIELONY

KRAJOBRAZ — STARE KURESKI — STRÓJ GÓRALI CIESZYŃSKICH — PRÓBKI SŁOWNIKA — MOWA ARCHAICZNA — PISARZE I LUDOWI DZIAŁACZE

Na gładkiej a przepaścistej serpentynie ciężko warkocze motor, bo dźwiga nas w górę, coraz wyżej i wyżej, na poziom około 700 metrów; mijamy rozjazd do zameczka Prezydenta, potem jakieś nowoczesne miasteczko na stokach skalnych w puszczy świerkowej, które okazuje się imponującym, co dopiero wykończonym sanatorium dla gruźliczych dzieci śląskich, jeszcze kilka kilometrów smrekowych panoram i stajemy nad rzeką Olzą, w samym sercu cieszyńskiej starogóralszczyzny. Do niedawna mało znany rezerwat ludzi i przyrody. Ludzi, bałamuconych przez obcy rząd, obce duchowieństwo, obcych nauczycieli.

Ale żadna siła nie wydarła z serc Ślązaków wiary, obyczajów, ni mowy prawiekowej. Tym wszystkim Juroszkom, Kawulokom, Kukuczkom, Michałkom, Legierskim, Kobutom, Burym, Ligockim, Marekwicom! Te nazwiska powtarzają się prawie wyłącznie w Istebnej pod Wisłą i w wsiach okolicznych. Gdy u Michała Kawuloka arcyksiążę oglądał kiedyś *kurlok* na stecówce czyli stary *dymniok* (dymna, kurna chata), tenże pokazał mu na belce wypaloną datę: 1791. Chata pamięta Polskę, prawi gazda, i jeszcze jej dożyje.

Szkoda, że kurloki dziś giną, uplastyczniają nam bowiem życie prastare, niemal pierwotne. Jałowiec syka na polepie, płomień bucha po zwęglony pułap, a dym szuka ujścia między belkami chałupy i ramami okna, aż natrafi na otwarte drzwi do przedsionka, skąd uchodzi prymitywnym otworem w dachu. W chacie takiej czarno jak w wędzarni, ale ponoć zdrowo, osmalone drewno dobrze się konserwuje, a zimą ciepło. Chłopy z kurniaka krzepkie jak buki, gaździnki żyją 80 lat i więcej, choć młodsi górale, co już w galotach czyli nogawicach nie chodzą, uważają dymny piec w izbie mieszkalnej za jedno nieszczęście na całe życie.

Ale nietylko ten staroświecki okaz w ziemię zapada. Już go znany malarz istebniański, Wałach, jako przeżytek maluje. Zamiera przede wszystkim regionalny strój góralski. Przyczyna tego tkwi nietyle w tandecie jarmarcznej, asfaltowych szosach, nowych liniach kolejowych, ile raczej w zaniku szałaśnictwa, a więc hodowli owiec, z czym wiąże się domowy przemysł tkacki. Dawniej konstruowali sobie górale nawet skomplikowane maszyny tkackie, które oglądamy dziś tylko w muzeum śląskim w Katowicach, teraz *gunia* coraz rzadsza mimo różnych towarzystw przyjaciół wiosek beskidzkich. Szałasy znikły, już w czasach austriackich, po upaństwowieniu lasów, gdzie wypasać nie wolno, a chłopi posiadają własnej roli za mało dla celów pasterskich. Jeśli zważymy, ile według sprowadzamy z za granicy, warto pomyśleć nad przywróceniem gospodarki szałasowej, czego się górale domagają, pomijając już konieczność ratowania stroju ludowego.

A jak ten strój wygląda? Góral śląski nosi na *wyrchu gunię* czyli „taki mantel z owczi wełny, co mo taki rynkowy długi, ale sie do nich rąk nie wstyrko". Knefle ku *brucliku* czyli kamizelce, a od *knefla,* guzika, idzie *włóczka.* Na lnianej koszuli, spinanej pod szyją klamerką, wyszyty kolorowy znaczek. Na nogach *fusakle,* niby skarpetki i *kyrpce,* dalej *gacie* czyli spodnie lub *galoty* i *spodnioki,* kalesony. Odwrotnie niż w Wielkopolsce! Krawatki ani kołnierzyka nie uznają, głowę nakrywa *baranica* albo *mycka.* Istebnianin chętnie „kurzi se tabakem, a falkem", fajkę, „zapaluje kołkami", zapałkami. W *kapsie,* kieszonce, „mo *nożiczek* albo *godzinki*", zegarek, w ręce niesie *wdycki* (zawsze) *palicę,* laskę. Idzie *cestą,* drogą, a wkoło szumią śmigłe *smreki, wirby, buki, jedle, jasienie* (jesiony) i *strumy* (drzewa owocowe). *Szumne,* t. j. ładne i *świarne freliczki* noszą *kabotki* z *lemieszkami,* paseczkami, krasne *spodki* (suknie) i *fortuchy* (spódnice), a w zimie wdziewają *kopytka* czyli krótkie pończochy z czerwonym paskiem u góry. Wieczorem rozlega się w dolinach *wiesiołe* dziewczęce *hokanie,* poczem odzywa się chłopiec, myślący już o *snębach,* zaręczynach. *Hoknięcie* stanowi także objaw serdecznego powitania. Te nawoływania wieczorne są bardzo lubianym zwyczajem góralskim.

Tu i ówdzie oglądasz sprzęt domowej fabrykacji: naczynia do mleka owczego zwane *szkopcami, stołki* czyli krzesła rzeźbione, wzorzyste *truwły* podobne do wielkopolskich komod, stare *olmaryje,* niby nasze kredensy, różne *musorki* czy naczynia *samorosłe, kłobuczki,* czapki i t. d.

Rzadką osobliwością jest czterometrowa trąba *szałaska,* powleczona korą trześniową i osmolona. Donośny jej głos *czuć,* słychać na milę, lecz nie lada siły płuc potrzeba, by melodię na takiej arcytrąbie smrekowej wygrać.

Z rewerencją odnoszą się śląscy górale do *wielebnego pana,* t. j. proboszcza i *pana paterka* czyli wikarego. *Faror,* ksiądz, i *rechtór,* nauczyciel to ważne pozycje na wsi. — Gdy *gorko* (gorąco) na dworze i nie *lza wydyrżeć* (nie można wytrzymać), pije się *kiszkę,* t. j. kwaśne mleko albo *mólkę* czyli żętycę. — A jak to *szumnie* na *wiesielu! Zenich* (pan młody) tańcuje z *młoduchą, tacik* (dziadek), inaczej *starek* z *matką* (babką), *stryk* czyli stryj ze *stryną, ujec z babiculą,* akuszerką. Muzyka: skrzypce i *gajdy,* podobne do zbąskiego kozła. — *Ciotka* to każda obca kobieta, a małe dzieci mówią do nauczyciela w szkole: *ujcu* czyli wujku. Staropolszczyzna, obok, rzecz prosta, wpływów niemieckich i morawsko-słowackich, brzmi też w nazwach narzędzi, potraw, domu, roślin i t. d.

Gdy *panoczek* Henryk Sienkiewicz zapisywał kiedyś *wszecko,* o czym



Leon Wyczółkowski: „KWITNĄCE JABŁONIE"

prawił mu gazda Szotkowski, zauważył olśniony: toż wy mówicie jak Rej albo Kochanowski! Uczyła się tu staropolszczyzny i Konopnicka i Kossak-Szczucka. U stóp Ochodzitej, Tynioka, Gańczarki, Girowej i Baraniej czerpie natchnienie poeta Beskidu Sląskiego, ks. prałat Grimm, autor zbiorów poezyj p. t. Z nad brzegów Olzy (1913) i Z nad źródeł Olzy (dwa tomy, Cieszyn 1935). Jan Łysek nauczyciel z Jaworzynki pisał zgrabne opowiadania w gwarze śląskiej, pisze dziś nauczyciel Paweł Zawada z Istebnej, ks. Burian z Goleszowa, gazda Jerzy Probosz i inni. Z regionalizmu cieszyńskiego wyrósł wielki talent Gustawa Morcinka.

Centrum tego ruchu stanowi Cieszyn, starogóralskie muzeum miejskie i niestrudzony badacz tego regionu, b. profesor i dyrektor gimnazjalny, Popiołek.

Glebę narodową użyźniał dawniej ks. Stalmach, pastor ewangelicki, Polonus z krwi i ducha; Ciuciała, działacz popularny, organizator oświaty ludowej to nasz Chociszewski, ks. Swieży, ks. Loudziu i tylu innych to wielkopolscy Marcinkowscy i Wawrzyniakowie. Im zawdzięczamy, że Sląsk Zielony i ukryte w górach i lasach dymne chaty zachowały charakter prapolski w tak rdzennej postaci. —

Aleksander Janta-Połczyński:

DO LEONA WYCZÓŁKOWSKIEGO

Katedrami nad nami dzwonisz
(W utopione dzwony z pod wody)
Szpiegu czarów i barw!
Złodzieju każdej pogody!

Pluska staw pod wiosłem. Śpią szuwary.
Popłyniemy na łów, na połowy — —
Do wiecierzy wczesne brzaski zórz
Wiatr przepłoszył, błękitny i płowy.

Mgieł leniwe rosną korkociągi —
Srebro ryb i wody w okach sieci — —
Zimny trzepot świtu od łąk
Trzeba wziąć na cel, zanim przeleci.

Gałęziami ocyka się w nocy
Puszcza śpiąca w przepaściach parowów.
Jeszcze mokro od rosy i mgieł.
Powracamy z kolorowych łowów.

W jasny bezkres wydłuża się droga
Oczy wiedzą, pełne uciszenia —
Rośnie niebo nad niemi jak tum:
Światy świateł i zaświaty cienia.

Alfred Kowalkowski:

POETA, KTÓRY JESZCZE SZUKA

Leonarda Turkowskiego znamy już z tomika poezji p. t. „Krzyż na rozdrożu", w którym jasno zarysowała się sylwetka autora jako indywidualności artystycznie nieokiełznanej, lecz obdarzonej wrodzonym wyczuciem piękna, skłonnej do lirycznej refleksji, nie gardzącej jednak też nutą epickości. Są to oczywiście jedynie ogólnikowe określenia, lecz i tak wystarczą nam one do wytworzenia sobie sugestywnego sądu, którego nie tak łatwo wyrzekniemy się nawet — gdy abstrahując od wszystkiego, co wiemy już o poecie — zagłębimy się jedynie w strofy nowego jego tomu, chcąc może odnaleźć tu osobowość nową, silniejszą w wyrazie, bardziej prostolinijną, wykutą z jednej bryły, słowem — twórcę o skrystalizowanym charakterze.

Ale oto zagubimy się w powodzi sprzeczności i, odczuwając cały urok i świeżość tej poezji, staniemy w obliczu czegoś niewiadomego, trudnego do sklasyfikowania. Nie jest to bynajmniej wynikiem bogactwa treściowego, głębokiej problematyki, czy skomplikowanego mechanizmu twórczego, którym się Turkowski posługuje. Czujemy po prostu, że staliśmy się ofiarą jakiejś mistyfikacji poetyckicj Urzekła nas prostota rąbanych niemal z pasją zwrotek, a nagle wpadamy w labirynt wątpliwości i już tracimy sprzed oczu tę pozorną prostotę, otacza nas chaos i las paradoksów.

— Czyżby poeta zastawił pułapkę na czytelnika? — Tego nie sądzimy, Raczej wydaje się nam, że to poeta sam miota się w potrzasku łatwości twórczej i zatraca samego siebie. Manieruje się i przestaje być szczery, gdy właśnie szczerość mogła go doprowadzić na jedną i prawdziwą drogę, u której kresu zaczyna się wielkość. Nie ma w tym przesady, jeśli tylko zważymy, że nawet to, co obserwujemy obecnie w poezji Turkowskiego — choć w wielu wypadkach jest to jeszcze tylko barwnym, nieuporządkowanym i artystycznie nieprzetworzonym materiałem twórczym — posiada ogromnie dużo swoistego czaru, że są tu wiersze, w których uczucia i myśli oddane są z taką prawdą, że mimo woli budzi się w nas wiara w powołanie poety i dalsze możliwości rozwoju.

Wiersze Turkowskiego są jednak w większości konglomeratem sprzecznych z sobą, niezrównoważonych porywów duszy młodzieńczej. Wrodzony liryzm miesza się w nich z dążeniem do uspołecznienia poezji i nadania jej tym samym pewnej programowości. I tu właśnie poeta się zabłąkał. W sztucznym programie nie może pomieścić się bujna indywidualność sensualisty, żyjącego pod urokiem chwili, pragnącego tę chwilę zamknąć w słowie i — utrwalając przemijające — nadać kształt każdemu drgnięciu uczucia. Stąd nawet w wierszu, w którym poeta postawił sobie jakiś problem, napotkamy na zboczenia od pierwotnego założenia i wikłające się bezładnie sprzeczności.

Turkowski — na ogół liryk, niekiedy posługujący się także pięknem opisu — nie posiada ani tej koniecznej głębokiej kultury artystycznej, ani wrodzonych zdolności, ani — co najważniejsze — odpowiedniej dojrzałości twórczej, by wkraczać na trudny szlak sondowania wartości etycznych, przenikania duszy zbiorowej, wdzierania się w tajniki społeczeństwa i narodu, nie mówiąc już o niebezpieczeństwach uzurpowania sobie praw wpływania na życie zbiorowe i kierowania nim. Mimo wielu zalet ukrywa się więc w wierszach tych jedna wada: sfałszowana szczerość osobistego przeżycia, tym tragiczniejsza, że mamy przed sobą urodzonego piewcę bezpośrednich wzruszeń. Nic więc dziwnego, że często w tej niepotrzebnej walce społecznika z lirykiem, zwycięża ten drugi i otrzymujemy wiersz niejednolity w wyrazie. Niekiedy, gdy problem jest nietrudny, szczerość może osiągnąć nawet niczym niezmąconą pełnię, ale bywają też wypadki, gdy uderzająco razi to silenie się na bezpośredniość, tam — gdzie bezpośredniego przeżycia nie ma, Nie o tak modny obecnie autentyzm nam tu chodzi, skoro nawet twórcy tego — jeśli go tak można nazwać — kierunku nie zdobyli się dotychczas na zadowalającą pozytywną jego definicję. Pragnęlibyśmy tu tylko spotkać się z prawdą ekspresji z szczerym podejściem do rzeczywistości, bez względu na to, czy będzie to rzeczywistość poznawalna zmysłami, czy też obca autentystom rzeczywistość świata duchowego wraz z wszystkimi jego tajnikami.

Kultura wielkopolska — jak już niejednokrotnie stwierdzano — a jak to ostatnio znakomicie wywiodł dr Jan Piechocki w Nr 63 „Wici", jest kulturą zurbanizowanych włościan, Stąd właśnie pochodzi charakterystyczne, filozoficzno-religijne nastawienie większości wielkopolskich poetów, nieobce także Turkowskiemu. Ale istnieje niebezpieczeństwo mielizny, na której można — nawet nie zdając sobie z tego sprawy — utknąć i rozbić się. Mielizną tą — to niedostateczne jeszcze przesiąknięcie kulturą miejską, a zerwanie już dość silne z wsią. I dlatego w poezji Turkowskiego nie pulsuje ani żywa „krew ziemi", ani nie ma rzetelnego obrazu życia miasta lub przedmieścia.

Nie pozowanie więc na kasprowiczowską dojrzałość, ale najwyżej wspólny z Kasprowiczem duch buntu jest jedyną prawdą i wartością dobrych bądź co bądź wierszy Turkowskiego. Samotność i zbłąkanie, rokosz i grzech, tragizm walczącej bezskutecznie młodości, radosne wzloty i gorycz bolesnych upadków, a przede wszystkim uparte poszukiwanie nowych ideałów — oto co najszczerszego przejawia się w tej poezji Nie przekonywa nas to „wyciąganie rąk do ziemi z dachu miasta (?)", ta Polska zamiast, której widzimy tylko sztafaż, te zapewnienia, że „za mną jest z ziemi mej wyrosły naród", lecz wierzymy, poecie, gdy skarży się na „beztreściwość dzisiejszych myślowych potopów", gdy pięknie określa swe życie: słoma złocista, którąś — losie — po tylekroć połamał", gdy wreszcie szczerze przyznaje się, że „jeszcze nie skończył szukania".

Z wierszy Turkowskiego przebija wyraziście tragizm współczesnego

---

Artur Maria Swinarski:

LEONOWI WYCZÓŁKOWSKIEMU

(Dedykacja na „Tece Pomorskiej")

Twórca zdobywa kraje — nie żołnierz w bitewnych znojach!
Litwę zdobył Mickiewicz słowami „Ojczyzno moja..."
Tyś to uczynił, że z Gryfem łączy się Biały Orzeł:
Zdobyłeś dla Polski Pomorze.

Leonard Turkowski:

DRZEWA W GOŚCIERADZU

W Gościeradzu jest niebo inne niż gdzieindziej:
słońce jest na nim jaśniejsze o miliony wattów,
błękit zatapia się głębiej
w nieskończoność zaświatów
i Bóg jest nawet w nim lepszy
i świętszy niż wszędzie, —
a pod nim, w czystej przestrzeni,
co się z wiatrem przelewa,
kiwają się prostaczo gościeradzkie drzewa.

W Gościeradzu są drzewa bogatsze
od wszystkich innych:
w konarach więcej jest ciszy i więcej zamyślenia,
a w liściach więcej się słońca mieni.

Wchłaniając słoneczne światło
w korony swe gościnne,
troską przejęte, niziutko się chylą do ziemi
i studzą rozgrzaną rolę tchnieniem obszernych cieni.

Alfred Kowalkowski:

WYCZÓŁKOWSKI

W tęcz wieczystych krainie duszą kwietną zatonął:
odtąd mu w oczach wybuchał słońcem huczący świat.
Stutysięczno-barwisty szalał, jarzył się, płonął,
ogniem, cieniem, zielenią w poprzek życiu się kładł.
Widnokręgi, rozrosłe blasków wolą i siłą,
zaczarował hen, od niebios, po najdalszy śpiewny las.
Wśród zaklętej przestrzeni serce ziemi zabiło,
a w gałęziach drzew wyśnionych jeszcze szumi
[barwny czas.
Porozszerzał istnienie poza tęsknot granicę,
wycieniował i rozelśnił ludzkich marzeń żywy żar,
i przekroczył sam siebie, i własną tęsknicę:
przeżył w wizjach zachwytu światy dwa - podwójny czar.
I już teraz w snach złotych, w cieniach lotnych
[i lśnistych
zaklął siebie na zawsze — pielgrzym słonecznych dróg.
Czy widzicie, słyszycie — blask ten, szumy, poświsty?
— To w borach się szemrzących oczarowany
[wstrzymał Bóg!

---

młodego pokolenia. Cała gama sprzeczności wybucha niekiedy na małej przestrzeni kilku zdań. Oto raz po raz wyzwala się w poecie nieokiełznany żywioł młodości, a już po chwili ogarnia go apatia i całkowita depresja psychiczna. Ból, nędzę, niepokój, załamania duchowe, oddaje poeta z niezwykłą bezpośredniością. Jeśliby zaś nam przyszło go z kim zestawić, to chyba z Łobodowskim, który najgłębiej chyba przeżył tragizm uciśnionej młodości. I tu i tam spotykamy się z dominującą szatą pesymizmu U Turkowskiego jest ona niezupełnie czysta, choć może wyższa w tonacji, bo wierzy on jeszcze w wartość człowieka, wierzy przede wszystkim w Boga, przez którego ma się życie „uczłowieczyć". Jest to jednak tylko bierne oczekiwanie na jakiś cud, skoro nawet w chwili zwycięskiego wyzwolenia człowiek zdobyć się może tylko na „bolesny szept". Gdy więc Łobodowski potrafi wykroczyć poza doczesność pesymizmu, potrafi ocenić wartość życiowych poświęceń i śmiałym spojrzeniem stworzyć nowe horyzonty, stwierdzając: „na naszych klęskach znajdzie zgubę miażdżący nas świat" — u Turkowskiego brak ducha aktywności, jest tylko poddańcza, ale słaba wiara, rojąca się jeszcze od zwątpień. Charakterystycznym tego przykładem lapidarny, lecz jakże wiele mówiący czterowiersz p. t. „Amen":

Niech będzie. Niech tak się stanie.
I tak nic zmienić nie można.
Życie popłynie dalej. Wszystko na nic.
Zepchnij mnie z okna na bruk.

Forma zewnętrzna wierszy Turkowskiego taka sama jak treść: czasami gładka i potoczysta, a czasami rytm się rwie, rym, nawet asonans, zawodzi. Zresztą poeta z góry zastrzega się, że nie chce „zamykać swych wierszy ozdobnym rymu kwiatem", ani nie pragnie „nikogo koić muzyki słodkiej chłodem". Wolelibyśmy jednak nie słuchać tych zastrzeżeń. Dość częsty i rażący jest werbalizm poety, wynikający z niedbałości, tak jak z drugiej strony — niezależnie od treści — konstatujemy nadużywanie słów, zwłaszcza przysłówków i spójników. Trywialność i brutalizm całych partii wierszowych posiada także swój odpowiednik w słowach. Parę rażących usterek językowych (np. „Nienazwane: wreszcie żeśmy (!) zeszli z tych bezdroży...") — może lepiej położyć na karb niedopatrzeń korekty.

Jeśliby teraz w zakończeniu zesumować całokształt wrażeń i wysnuć realny jakiś wniosek, to trzeba by jednak zaznaczyć, że tomik zawiera znacznie więcej wartości dodatnich, niż ujemnych. Gdyby nie przesada nadmiernej, dość płytkiej, zapożyczonej, a przy tym niezachowanej programowości, wiersze — zykawszy na wyrazie — stałyby się nie fragmentarycznie, lecz w całości wiernym, kto wie czy nie wtrząsająco dokładnym odbiciem duszy nie tylko samego poety, ale i całego młodego pokolenia. Miejmy nadzieję, że z chwilą pogłębienia swej kultury literackiej i porzucenia tej — że tak powiem — wybujałej „sztandarowości" talent i wrodzony zmysł piękna zaprowadzą Turkowskiego na niedostępne może innym wyżyny.

Józef Kołodziejczyk:

UMARŁ CZŁOWIEK — ŻYJE LEGENDA

REPORTAŻ Z UROCZYSTOŚCI POGRZEBOWYCH ŚP. MICHAŁA DRZYMAŁY

W naszej książce szkolnej, z której uczyliśmy się historii Polski, był obrazek, przedstawiający zwyczajny wóz cygański na małych kołach, z kopcącym kominem, bez dyszli. Przed wozem stał chłop w długiej kapocie. Chłop był wysoki, chudy, z wąsiskami. Pod tym obrazkiem widniał podpis „Wóz Drzymały". Jeszcze zanim „przyszliśmy" do tego miejsca w książce, z ciekawości przeczytałem sobie o Drzymale.

W krótkich słowach opowiedziano w naszej historii, że w roku 1905 Niemcy w swej zachłanności germanizacyjnej chcieli wydrzeć ziemię chłopom wielkopolskim. Nie pozwalali budować domów mieszkalnych na nabytych gruntach. Ale chłopi się nie dali. Jako przykład służył Drzymała, który na swej działce w Podgradowicach (pow. wolsztyński) zamieszkał w wozie cygańskim. Niemcy go szykanowali, ale się nie dał. Sprawa Drzymały stała się głośna i w całym świecie wywołała oburzenie na Niemców.

Tak to mniej więcej uczyliśmy się w szkole. I od czasów Niepodległości tak uczyły się i uczą wszystkie

dzieci szkolne o historycznym Drzymale. Chłop-bohater stanowi przykład wytrwania, przykład ukochania ziemi polskiej dla pokoleń, wzrastających w niepodległej ojczyźnie. „Wóz Drzymały" to coś równie wspaniałego w swym bohaterskim patosie, jak śmierć gen. Sowińskiego, jak czyny Bartosza Głowackiego, Kilińskiego i t. p.

Nie wiedziałem o tym, że Drzymała, ten historyczny Drzymała, żyje. Jeszcze, kiedy oglądałem „wóz Drzymały" na Powszechnej Wystawie Krajowej byłem przekonany, że Drzymały nie ma już między żyjącymi. Bo jeżeli żyje ten Bohater, to przecież powinien być otoczony nimbem sławy i honorów, przecież powinien znaleźć się na wysokim piedestale życia społecznego, powinno go się otaczać powszechną i publiczną czcią.

W roku 1936 na wystawie regionalnej w Wyrzysku pokazano mi starego lecz jeszcze krzepkiego wieśniaka.

— To Drzymała.

— Jaki Drzymała? Ten z historii, co to na wozie mieszkał?...

— Tak. Ten.

I miałem ten zaszczyt osobiście poznać Drzymałę. Czułem się tak onieśmielony, jakbym rozmawiał z jakim ministrem. A przecież był to prosty chłop i niczym więcej zostać nie chciał. Nie mówił dużo, lecz poważnie, prosto i mądrze. Nie ubierał się nad stan, nie sięgał po zaszczyty, nie był łasy popularności. Interesował się wszystkim, co dotyczyło wsi i roli. Nie wiodło mu się też nadzwyczajnie: żył z deputatu na stare lata, jak każdy wieśniak. Z tych zasług dla Ojczyzny, jakie w wielkiej mierze przecież posiadał, nie umiał domagać się profitu. Twardy, nieugięty charakter. Taki prawdziwy chłop wielkopolski, co to nie czapkuje byle komu.

Odnosiło się wrażenie, że Michał Drzymała (Michał, a nie Wojciech) więcej dał społeczeństwu polskiemu niż od niego otrzymał. Zdawało się, że niejako cała Polska jest dłużniczką Drzymały.

I oto, kiedy Drzymała umarł w niedzielę, 29 kwietnia b. r., dług czci i wdzięczności wobec Nieboszczyka objawił się spontanicznie i powszechnie. Cicha wieś Grabówno pod Miasteczkiem w pow. wyrzyskim, miejsce zgonu bohaterskiego chłopa, stała się głośna w całej Polsce. We wszystkich czasopismach tłuste notatki, długie wspomnienia. I „Polonia Restituta". I manifestacyjny pogrzeb...

* * *

Jak Miasteczko Miasteczkiem takiego święta tam nie było. Przyjechał sam pan wicewojewoda poznański, przyjechał kurator dr Jakubiec, przyjechali z Bydgoszczy: prezydent miasta Barciszewski i gen. Chmurowicz i tylu innych wybitnych przedstawicieli władz. Z dalekiej Łodzi nawet przysłali wieńce. Okoliczny lud zwalił się tłumami, mimo że to przecież był dzień powszedni, czwartek, 29 kwietnia 1937 r. Aż policjant musiał przy wjeździe do Miasteczka regulować ruch powozów i pieszych. Straż porządkowa badała każdego. A skąd? A jak? I trzeba było na rynku stanąć w odpowiednim szeregu. Tu wieńce, tam organizacje, tam sztandary. Mała, urocza mieścina graniczna ubrała się w biało-czerwoną szatę sztandarów, zasmuconych krepą. Nad wiosennym dopołudniem wisiały chmury, ale deszcz



Lucjan Lewandowski:

MICHAŁ DRZYMAŁA

nie padał. Co chwila natomiast wyzierało słońce z za chmur, ciekawe, co też tu się dzieje.

A był to pogrzeb Drzymały. Już poprzedniego dnia przewieziono Nieboszczyka uroczyście, choć na skromnym, chłopskim wozie, z Grabówna do Miasteczka i złożono go w dębowej trumnie, w parafialnym, gotyckim kościele, królującym ze wzgórza miastu i okolicy.

Ponury majestat śmierci panował w kościele. Pachniało zielenią, kadzidłem i palonym woskiem. Pełne ławy, pełen kościół ludzi. Dzieci szkolne stanęły skromnie po bokach i modlą się z książeczek do nabożeństwa, zerkając z lękliwą ciekawością na trumnę, umieszczoną na wysokim katafalku w głównej nawie. Wyszli już księża, zagrały organy, zabrzmiał śpiew chóralny, rozpoczęły się wigilie i nabożeństwo żałobne.

Drzymała napewno chętnie uczestniczy w Mszy św. Był przecież człowiekiem nabożnym. Pokąd jeszcze mógł, chodził do kościoła na niedzielne nabożeństwa. I w tej też świątyni odbyła się uroczysta msza św. z okazji złotych godów małżeństwa Drzymałów. A teraz też nabożeństwo, ale jakże inne... Na tam tym, jubileuszowym łzy się cisnęły do oczu, że to tyle lat, tyle lat się żyło w trudach i radościach. A teraz też łzy się cisną do oczu, ale już nie do oczu Drzymałowych. Teraz Drzymała patrzy pewnie z zaświatów i raduje się, że oto jego żona, jego synowie i wnuki przystępują do Komunii św., modląc się czystym sercem za spokój jego duszy.

Właśnie stara Drzymałowa pochylona rozpaczą, klęka przed ołtarzem. Jeszcze w niedzielę czytała mu z książki do nabożeństwa modlitwy mszalne. Jeszcze w niedzielę mówił, żył, ruszał się, oddychał...

— Requiescat in pace!

— Amen.

Kończy się nabożeństwo, milknie chór kościelny, na kazalnicę wstępuje ks. prob. Kopczyński. Żałobny mówca uświadamia nas, że oto przed nami leży w trumnie zwycięzca. Zwyciężył nie byle kogo — potężnego ciemięzcę. Sprawiedliwość dziejowa sprawiła, że ten, który chciał ziemię wydrzeć Drzymale, teraz sam bez ziemi, na wygnaniu.

Co za zestawienie — rozważamy — wielki cesarz i biedny chłop polski. A przecież losy ich w przedziwnej się splotły symbolice. Wilhelm II chciał jak najwięcej ziemi wydrzeć Polakom. Wilhelm II był zwolennikiem ustawy wywłaszczeniowej. W Drzymale znalazł niespodziewanego przeciwnika. Biedny chłop wielkopolski sprytnym wybiegiem nie dał się złamać potężnemu państwu. Nie tylko nie oddał swego skrawka ziemi, ale jeszcze Wilhelma ośmieszył przed całym światem.

Potężne państwo okazało się słabe wobec prostego chłopa.

Zakazali mu dom budować, on mieszkał w wozie. Nakładali kary — on cierpiał w więzieniu, ale kar nie płacił. Brali mu za grzywny krowę, on miał tupet powiedzieć:

— Jeżeli cesarstwo takie mocne, to co mu po mojej krowie?...

* * *

Po nabożeństwie w wspaniałym pochodzie udały się delegacje i tłumy żałobników na rynek Miasteczka. U stóp pomnika Wolności wzniesiono tam mównicę, przed którą stanął wóz chłopski zaprzężony w cztery konie. Na wozie tym złożono trumnę i rozpoczęły się przemówienia.

Najpierw uczciło Drzymałę Państwo Polskie. P. wicewojewoda Walicki przy dźwiękach hymnu narodowego złożył na trumnie insygnia orderu „Polonia Restituta". Z kolei oddała cześć chłopskiemu bojownikowi polska armia. P. gen. Chmurowicz w mocnym przemówieniu wyznaczył grób Drzymały jako graniczny

znąk, poza który żaden najeźdźca przejść nie może. W dalszym ciągu złożyli hołd cieniom Drzymały przedstawiciele nauki i szkolnictwa, rolnictwa i kółek rolniczych, miasta Poznania i historycznych Podgradowic.

W przemówieniach tych raz jeszcze przewinęła się przed nami droga życia Drzymały. Długa to była droga: od rodzinnego Zdroju pod Nowym Tomyślem, poprzez Podgradowice w pow. wolsztyńskim, przez biedę przefurmanioną w Cegielsku, aż po zasłużoną nagrodę w postaci osady w Grabównie pod Miasteczkiem. 80 lat — ha, to szmat życia, szmat ciężkiego życia. 57 lat „na własnem" z nieodstępną towarzyszką — żoną, Józefą z Fetterów. — To dzieje walki o ziemię i dzieje wychowania 5 synów, z których trzeba było śmierć jednego i inwalidztwo drugiego przeboleć. Ho, ho, gdyby nawet nie było tego woza i takby trzeba Cię podziwiać, Drzymało!

Chwalą Cię teraz wszyscy publicznie, na rynku, wobec pochylonych sztandarów. Mój Boże, a przecież i tak żona płacze, synowie dorośli ukradkiem łzy obcierają, bo cóż pomogą największe słowa wobec tego, że już nie żyjesz....

Wielką drogę przeszedłeś Drzymało przez te 80 lat i już teraz, na ostatnim ziemskim odcinku tej drogi, zdać się musisz na siły innych. Oto przy głuchym zawodzeniu dzwonów niosą Cię na barkach wąską uliczką, wysoko na cmentarz. Na samym szczycie cmentarnego pagórka złoci się piaskiem głęboka rana w zielonej darni. Nad dołem stawiają trumnę. Cichy tłum staje dokoła. Kościół żegna zmarłego ostatnimi modłami. Jeszcze pożegnalne przemówienie ks. prob. Glatzela i na trumnę sypie się pierwsza grudka ziemi. Z głośnym szlochem rzuca ją wdowa-staruszka. Z szklącymi oczyma ostatnią przysługę oddają Zmarłemu synowie. A po tem posypała się ziemia pod dotknięciami łopat i trumna zniknęła na zawsze w ziemi.

W polskiej ziemi.

Stos kwiecia zakrył niewielki pagórek piasku, znacząc miejsce gdzie spoczywa snem wiecznym Michał Drzymała.

Skończył się pogrzeb. Odeszli po dłuższej chwili ostatni żałobnicy. Drzymała został sam. Z wysokiej góry cmentarnej spogląda na dalekie okolice. Spogląda daleko, szeroko na całą Polskę. I woła do nas ustawicznym przypomnieniem, testamentem swego życia: nie ustępujcie nikomu ze swej ziemi! Brońcie co tchu w piersiach tej naszej, polskiej ziemi!

* * *

Odszedł człowiek — pozostała legenda. Drzymała żyje w dziełach literatów, historyków, pedagogów i w sercach Polaków. Drzymałowy wóz rozrósł się, spotężniał i kołami swymi stoi twardo na czterech krańcach Rzeczypospolitej.

Jolenta Brzezińska:

KOŹLORKA

Słońce idzie coroz wyżyj. Skwor sie robi. Marynka łowinóła sobie rzymiń mocni kole rynki i usiadła. Syn jóm zmorzół, kiwła sie roz i drugi, ale wnet jóm kłozy szarpły.

— Stój głupio!

Bułaby sie wywróciółа.

To ino bez to, że ni mo dzisio ty młocy. Słabo tako, co siednie to śpi. Bez to powietrze. Słóńce żgo, a tam z dołu zmroczo sie i zmroczo. Kole wieczora nawałność sie zbierze.

Ściągła chuste wiyncy jeszczy na łoczy. Żyto już niektórzy zwieźli, pszynice ludzie siekóm. Umyńczóm sie w tym skworze ale nie śmiejóm nic mówić. Ładne żniwa. Robióm tyż a robióm. Na swojym to sie robi. Łóna by i nie na swojym robióła, żeby to ino... Łoj Błoże!

Kiwła sie znowu.

— Marynka! Kłozy do dóm nie żyniesz?

Łod Sikorów jachali na pole.

— Już połednie?

— A coś myślała?

— A wy jeszczy na płole?

— Bez połednie robiymy. Myślisz, że tak jak ty. — Minyli jóm i z daleka wołali jeszczy — Chleba by my sie nie najedli.

— Hal'e, hal'e[1]) — zamruczała markotnie.

Bo to by nie szła? Pewnie. Żeby ino mogła. Zaroz by do wiuzanio leciała. Zarobiółaby se pinióndze, nie potrzebowałaby sie na nikogó łoglądać.

Dóma — tak jakby wiedziała — matka z pyskiym.

— Nie wiysz, że połednie? Jo se rynce urobie, ty nie wiysz co robłota, co żniwa. Nigdyś nie robiuła.

Moj Błoże! Żeby ino mogła.

— Łod tegó skworu tożym łoż łomglała, i bez to żym ani nie spojstrzegła, że już połednie.

[1]) l' — l miękkie, zbliżone do lj.

Ale sobie narobiuła.

— Łomglała? Do wiuzanio cie wygnóm, to ty łomglejesz przy robłocie. Widzicie jóm! Jak staro babusia za kłozami łazi i łomgleje! Pysk do żarcio mosz, ale robić to jo na ciebie musze. Żebyś tak wiuzać poszła...

Żeby ino mogła.

Złapała szúńdy[2]) i poleciała płо wode. Młoc by tak miała, przecie pómpać by ji ciyżko nie buło, ale że sie tak cołko musi łokryncać przy tym pompaniu.

Zahoczóła połne wymbłorki i ani nie zrobióła jeszczy trzech kroków, i rymła jak długo. Zaroz z kyndyś z piskiym i wyśmiywaniym przybieżeli Jonek i Władziu

— Ale sie wywróciuła! Ale sie gichła! Oż sie wymbłorki pokulały.

I kopli wymbłorek do rowu.

Ni mogła sie podnieś.

— Podsadzymy cie! Drągiym!

Wstała nareszcie. Łobloła sie cołko. Buła zło.

— Uciykniecie bymbny.

— Głupio Marynka! Ale sie płokulała.

Wcale łod ni nie zmykali. Wiedzieli, że im nic nie zrobi, bo ji dziesinć razy mogóm uciekném zanim by ich dosiyngła. A niechby ino spróbowała. Jakby jóm pociągli albo szturchli, zaroz by sie znowu wywalóła.

Powlekła sie tym swoim takim połamanym chodym po tyn wymbłorek co gó chłopcy do rowu kulły. Władziu i Janek jakby ino na to czekali. Nim łóna sie wrajdała po śtyrech, hyc do rowu i wyćpili wymbłorek na góre, a jak Marynka z rowu po śtyrech wylazła, już wymbłorek nazod wećpili.

Popłakała sie. Takim człowiekiym każdy pomioto, nawet takie smarkocze.

Chłopcy aby sie ino wincy śmioli.

— Duli, duli Marynka — niut, niut katarynka.

I jakby im jeszczy mało buło, wećpili drugi wymbłorek na łogród Snelów. Wlecioł na same kwiaty. Połomali slozywe.

Snelino widać bez łokno widziała. Wyleciała z pyskiym.

— Biegejcie ino tu!

Nie głupi. Teroz smykli.

Janek wpodł za budynek Andrzejewskich, Władziu skowoł sie za płot, i ino głowy wytykali kuntynci, a Marynka musiała wszystkiygó wysłuchać.

A wszystko bez to, że źle stąpła, że nie uwożała. Zawdy musiała mocno uwożać na to jak szła, bo jak źle tóm prawóm giyróm stąpła, to sie zaroz wywrócióła jak długo. Tak tyż teroz buło.

[2]) sź — sz miękkie.

Matka downo polecieli do robłoty, Marynka tyż kłozy pognała.

Szła teroz bez całkóm wieś, bo kołybała sie aż na szose. Łod Snelów bydło na dróge wychodzióło, łod Sikorów krowy szły, łod Andrzejewskich i łod innych. Szła akurat na nie, bo to wszysko szło w przeciwnóm stróne na łąki. Pewnie, gospodorz nie wyżynie bydła na rów na szose. Na łąki idóm, oż pod graniczoki.

Markotnie ji buło. Całko wieś u robłoty, stare i młode, za krowami dzieci idóm, takie jeszczy co to nic innygó nie potrafióm jeszczyk zrobić, a łóna jedna za kłozami sie wlecze. Prowde matka rzekli. Jak staro babusia.

Królikóm dać, z kłozami iś i włody nanieś. Łoj tak, nanieś, nanieś — i tak żałość w ni wezbrała, że by ino płakała. Łobtarła łoczy pod ukrodkóm, przecie, głupio buło, ale hónór swój tyż mo. Anó, co buła winno, że buła tako? Że już łod dziecka?

Jarzynia w łogrodzie zielskiym zarosła, przecie by zrobióła, żeby ino mogła. Wszysko by zrobióła. Matce by sie mynczyć nie dała. Jak miała robić, kiedy buła tako na te cołkóm prawóm stróne? I rynke prawom i noge prawóm miała mniyjsze jak lewe i takie jakby pokryncóne. Ani stąpnąć jaknoleży na te giyre, ani złapać co tóm łapóm. A nachylić sie, to zaro sie wywrócić.

Przecie buła jakby połamano!

Póki matka żyjóm, jeszczy. Ale płotym. Mój Błoże! Ani uszyć, ani wyprać cokłolek. Do ludzi nie pójdzie, kto by tam wzión takóm, pomiotali nióm. Jak ni mieli pomiotać zarażónóm?

— Ło Jezu, Jezu, na żebry mi przydzie iś.

A przecie urodziuła sie tyż jak kożde inne dziecko. Łopowiadali zaś łoto matka, że to przyszło łod razu, miała pore miesiyncy. Tako sie zrobiuła na te jednóm stróne niewładno, że myśleli że sie nie uchowo. Napłakali sie tyż matka dosyć. Żeby córe mieć zarażónóm!

A przecie uchowała sie choć tako, jakby na skoranie Boskie. Lepi żeby buł jóm Pan Bóg zabroł.

Cupła na rowie. Nie narobiuła sie jak inni, przecie jednak rada buła kuńdek łodpocząć. Trowa tu buła ładno, kłozy prosić sie nie dajóm. Za plecami miała ściernisko. Sipurów płole. Żyto już zwieźli, ba, jynczmiń już siekóm tam dali łod drógi.

Dosyć płóźno godzinia już buła, a skwor nie ustawoł. Marynka bułaby sie chyntnie zdrzymła znowu, ale tu na szosie ni mogła. Jakby tyż jachoł szosowy!

Jakoż długo nie czekała. Ani by któ myśloł, że mo takie dobre łoczy. Jeszczy tak pod tóm chustóm skowane.

Szarpła rzymiń i smagła kłozy na ściernisko.

Buła głupio, buła, ale przecie swój rozum tyż miała. Wiedziała czymu siadła pod ściernisk

iym.

Szosowy przejachoł, spojrzoł jyno, ale mówić nic nie mógł Kłozy w rowie nie buły. A choćby i widzioł, to co, stworzynie nie człowiek, ni może w szkode wejś?

Ledwo koło szosowygó znikło na końcu drógi, Marynka wegnało kłozy nazod do rowu.

Tako głupio, a mądrygó i łogłupi.

I jakoś lżyj ji sie zrobiuło.

KRONIKA POZNAŃSKA

Bardzo silne w ostatnich czasach w Poznaniu zainteresowania sprawami gospodarczymi w związku z Targami Poznańskimi nie zdołały osłabić intensywnego życia kulturalnego i artystycznego stolicy Wielkopolski. Przeciwnie — tydzień targów połączono z licznymi imprezami teatralnymi, muzycznymi i choreograficznymi, które dały przyjezdnym choć w części wyobrażenie o rozmachu, z jakim pracuje się tu w tej dziedzinie.

Oczywiście całokształt poczynań na polu kultury był do zobrazowania ogromnie trudny, nawet niemożliwy, gdyż to, co pokazano gościom musiało mieć charakter widowiskowy. Na uboczu pozostać musiała więc literatura i nauka, choć na tym odcinku ruch jest coraz żywszy. Dowodem choćby powstanie nowego wydawnictwa, które interesuje się specjalnie powieściopisarzami i poetami poznańskimi. Nakładem J. Dippla ukazały się niedawno poezje Jernasa i Turkowskiego, oraz powieści Kawczyńskiego i Balickiego, czołowych dziś prozaików Poznania. Dodatni to niewątpliwie objaw, że pisarze mają możność wydania swych dzieł w rodzinnym mieście. Fakt ten należy ponad to uznać za jeszcze jeden dowód przełamywania hegemonii stolicy w sprawach literatury.

To samo zauważyć się daje w innych dziedzinach. Dla przykładu posłużyć by mogła działalność Polskiego Instytutu Socjologicznego w Poznaniu, który pod kierownictwem jednego z najlepszych współczesnych socjologów, prof. Znanieckiego, prowadzi owocne badania naukowe w terenie.

Obecnie badaniom podlegają stosunki po wsiach wielkopolskich, przy czym szczególnie uwzględnia się wieś osadniczą. Także Zakład Prehistoryczny U. P. z nadejściem wiosny znowu rozpoczął poszukiwania w jedynej w swym rodzaju osadzie prehistorycznej w Biskupinie. Wykopaliska te i w tym roku napewno będą ściągały do Wielkopolski uczonych i turystów nawet z zagranicy.

W związku z rocznicą skonu największego poety, jakiego wydała ziemia wielkopolska, pisaliśmy już o zainicjowaniu Rocznika Kasprowiczowskiego. Pierwszy tom tego wydawnictwa ukazał się już stosunkowo dawno i przyniósł bardzo wiele nowych i ciekawych wiadomości o postaci i twórczości poety. Oprócz listów do narzeczonej, mamy w roczniku cenne publikacje prof. Pollaka o włoskich „Kasprowiczianach", prof. Bergera o nieznanych niemieckich przekładach Kasprowicza, mgr. Suchockiego, który poddaje wnikliwej analizie stosunek Kasprowicza do Boga i mgr. Waszaka, który z ogromną pracowitością zebrał dane, dotyczące kultu Kasprowicza w Wielkopolsce. Inicjatywa wydania tego rocznika wyszła od ogromnie zasłużonego dla Poznania na polu kultury i sztuki, decernenta tego wydziału przy Zarządzie Miejskim, radcy dr. Zaleskiego. Mamy nadzieję, że dalsze tomy cennego wydawnictwa kasprowiczowskiego przewyższą jeszcze swą wartością piękny tom pierwszy.

Z niekłamaną radością musimy stwierdzić, że cotygodniowe niemal czwartki literacko-artystyczne w Pałacu Działyńskich ustabilizowały się ostatnio na bardzo wysokim poziomie. Dzięki wysiłkom Związku Zawodowego Literatów z prezesem Dr. Kosidowskim na czele, tłumy, zapełniające najczęściej po brzegi salę odczytową, mają możność usłyszenia najwybitniejszych przedstawicieli myśli polskiej. Dość wymienić nazwiska Limanowskiego, Irzykowskiego, Kridla, Suchodolskiego, by nabrać wyobrażenia o wartości czwartkowych odczytów.

Zwłaszcza cenny był odczyt prof. Limanowskiego, który poruszył problem specjalnie nas wszystkich interesujący. „Walka o Warszawę" — o oblicze kulturalne stolicy — jest w czasach obecnych zagadnieniem poprostu palącym, bo niedość stworzyć własne środowisko kulturalne — trzeba, by kultura stolicy była — choćby ze względu na swą reprezentacyjność — wykładnikiem geniusza narodowego, a nie tworem pojedyńczych grup, obcych przeważnie duchowi polskiemu. Jednym słowem również i prowincja musi wziąć udział w tej walce. Przedstawienie tła i warunków dokonywania się takiego

procesu jest wielką zasługą prelegenta i tych, którzy umożliwili mu wygłoszenie swych myśli.

Akademik Irzykowski z właściwą mu drobiazgowością wgłębił się w treść swej prelekcji „o plagiacie". Mimo całej drażliwości i aktualności tematu mówca potrafił sprawę postawić objektywnie i unikając momentów sensacyjnych zanalizować z punktu widzenia naukowo-literackiego ciekawy ten problem. Manfred Kridl — autor głośnego „Wstępu do badań literackich" przyjechał do Poznania z prelekcją p. t. „Nauka o literaturze wobec krytyki". Chociaż odnosiło się wrażenie, że Kridl zacieśnia przedmiot odczytu do obrony jedynie swych tez przed atakami krytyków zwłaszcza Kołaczkowskiego, Borowego i Adamczewskiego, lecz umiar w polemice i wielopłaszczyznowe podejście do zagadnienia godne były podziwu.

Gość zagraniczny, konsul Frank Savery, przedstawił ciekawie na jednym z czwartków swe wrażenia z Grecji, jakże różne od wielokrotnie już słyszanych podobnych opisów czy wspomnień. Tu opowiadanie — samo przez się barwne i przykuwające uwagę — poparte było głęboką kulturą klasyczną prelegenta. Wszystkich swych wybitnych poprzedników przewyższył jednak Suchodolski z odczytem o „dwoistości życia kulturalnego", wspaniałymi rzutami myśli tworząc z tematu zwartą konstrukcję teoretyczną. Wynikiem tych rozważań było stwierdzenie, że kulturę winno się raczej osiągać przez wewnętrzne kształcenie siebie i odnalezienie swej jaźni w wartościach moralnych charakteru, intuicji, woli i wyobraźni, niźli przez zaufanie tylko wiedzy i pierwiastkom rozumowym. Wreszcie ostatni z prelegentów Julian Krzyżanowski, znakomity historyk literatury i kultury mówił o „piosenkarzach staropolskich i ich repertuarze", zaznajamiając Poznań z najnowszymi wynikami badań w tej dziedzinie i budząc zainteresowanie dla nieznanych szerzej minionych przejawów kultury naszego narodu.

Gdy już mowa o sprawach literackich przeważnie, nie sposób pominąć milczeniem czasopism literackich. „Prom" pod kierownictwem Allana Kosko przeżywa obecnie renesans. Poeci spod jego znaku, a więc prócz Koski: Herbert, Morski, Brzeska, Popowska i Pigwa postępują stale wzwyż. W ogóle Poznań wkroczył obecnie w prawdziwą „wiosnę poetycką". Tygodnik literacko-społeczny „Kultura" — oparty o światopogląd katolicki mimo krótkiego stosunkowo czasu istnienia stał się poprostu pismem reprezentacyjnym o jednolitej linii redakcyjnej. Kierownictwo ks. Brossa i mgr. Januszkiewicza, współpraca czołowych pisarzów i myślicieli katolickich, artykuły krytyczne i wnikliwe recenzje Michalskiego i Birkenmajera gwarantują wysoki poziom bez żadnych załamań. Tygodnik taki był oddawna już postulatem chwili i dobrze się stało, że sfery wykształcone uzyskały wreszcie organ myśli katolickiej o jasno skrystalizowanym charakterze.

Gdy mowa o czasopismach ukazujących się w Poznaniu, to nie wolno pomijać milczeniem „Tęczy" ilustrowanego miesięcznika, wydawanego od jedenastu lat przez „Księgarnię św. Wojciecha". W latach ostatnich wypracowała sobie „Tęcza", pod redakcją Józefa Kisielewskiego, własną, interesującą formę redakcyjną, coraz bardziej i szczęśliwiej z niezdecydowanego ongi pisma obrazkowego przeobrażając się w „magazyn" o bardzo szerokiej skali zainteresowań. Poważne i odpowiedzialne uwzględnianie zagadnień naukowo-literacko-artystycznych sprawia, że coraz bogatszy i wartościowszy jest wkład „Tęczy" do polskiego dorobku kulturalnego.

W życiu teatralnym Poznania nastąpiło pewne wyjaśnienie sytuacji. Rozbicie subwencji miejskiej pomiędzy dwa konkurencyjne teaty dramatyczne musiało łączyć się z szkodą dla poziomu obydwu placówek. Zapowiedź prezydenta miasta, dotycząca uprzywilejowania tylko jednej sceny, lub ewentualnie ujednolicenia kierownictwa obydwu teatrów stała się bezsprzecznie jednym z powodów zamknięcia Teatru Nowego, borykającego się już oddawna z wielkimi trudnościami, sprawiającymi, że wiele najlepszych wysiłków nie dawało pożądanych rezultatów. Ostatnio wystawiono jeszcze sztukę Shawa — „Profesja Pani Warren" z Cieszkowską, Lisowskim, Zakrzyńskim i Drewiczem, kończącą sezon obfitujący tak we wzloty, jak i w załamania — mimo wszystko pewnym sukcesem artystycznym.

Teatr Polski jak zwykle wystąpił z szeregiem interesujących premier. „Portret Łukasza" — świetnie wyreżyserowany i zagrany — obfitował w liczne wątki dramatyczne i konflikty, których autor na ogół należycie nie rozwiązał, mimo wszystkich bowiem zalet brak mu było nerwu scenicznego. „Kto zabił" Ayn Randa w reżyserii Boneckiego była sztuką nie tyle sensacyjną, ile psychologiczną. Jedynie zwyczaje sądowe wzorowane na amerykańskich były nieco niezrozumiałe dla przeciętnego widza. Kierczyński i Jabłonowska błysnęli starannie opracowanymi kreacjami, iskrzącymi się prawdziwym talentem. Potężne wrażenie musiał sprawić na każdym „Książę niezłomny" Calderona w przekładzie Słowackiego, choć — być może — wspanialej wypadłby jeszcze pod gołym niebem. Teatr Polski ma szczęście do klasycznego repertuaru, cieszącego się nieodmiennie powodzeniem, szczególnie dlatego że reżyseria Dąbrowskiego potrafi dostosować dzieło do gustu publiczności. „Książę niezłomny" był największym wydarzeniem teatralnym od czasu niezapomnianego „Wieczoru trzech króli". Rozkoszowaliśmy się tu ponad to jeszcze dźwięcznymi strofami Słowackiego w wykonaniu takiego znawcy jak Dąbrowski, dalej Plucińskiego, Jabłonowskiej i Galińskiej. Główną rolę kreował reżyser nie ustępując wiele wielkim mistrzom sceny, którzy kreację tę zaliczali do najpiękniejszych w swej karierze. Kierczyński w roli króla Alfonsa, Pluciński jako Mulej, a zwłaszcza Jabłonowska — Feniksana muszą zaliczyć te role do swych najlepszych w bieżącym sezonie. Dekoracje Szpingiera jak zwykle były godnym dopełnieniem całości. „Gdzie diabeł nie może" — nowa komedia Niewiarowicza, napisana z ogromnym wyczuciem sceny, miała za temat tyle razy już opracowywaną kwestię powodzenia życiowego. Tu wprawdzie głównym motorem akcji była także kobieta, ale miłość została umiejscowiona raczej w drugim — równoległym wątku komedii. Lekkością także odznaczała się „Bessie" Folanda — autora polsko-amerykańskiego, aczkolwiek mogło się wydawać, że gdzie nie gdzie akcja się rwie, nie mając uzasadnienia psychologicznego. Powodem jednakże była raczej nieznajomość środowiska amerykańskiego i może nie zupełnie odpowiednia obsada ról. Hiszpańska komedia p.t. „Niezwykła transakcja", mimo świetnej gry artystów, zwłaszcza dyr. Boelkego, jako jedyna spośród ostatnio wystawionych sztuk zostawiła przykre wrażenia.

Teatr Wielki chlubnie zakończył oficjalny sezon. Na zakończenie wystawiono po raz pierwszy w Polsce operę komiczną Wolf-Ferrariego pt. „Czterech gburów", która była godnym ukoronowaniem poczynań dyrekcji Opery. Wszystko było tu pięknie zharmonizowane. Kierownictwo muzyczne, reżyseria i inscenizacja plastyczna — razem wzięte — nadawały jednolity styl przedstawieniu. Opera ta, to zresztą jedna z najlepszych dzieł gatunku komicznego, niepodobna do wielu nużących tak muzyką, jak librettem oper buffa. Tłumaczył ją dyr. dr Latoszewski (wespół z K. Czarneckim), on też objął w niej kierownictwo muzyczne, uzyskując piękny sukces artystyczny, który głośnym echem odbił się w kraju. Niemniej chlubnie wywiązał

się z swego zadania Z. Szpingier, osiągając swymi dekoracjami znakomite efekty plastyczne. Przy jego talencie mógł Teatr Wielki urzeczywistnić dotychczasowe swe zamierzenia unowocześnienia opery, czyniąc ją prawdziwym teatrem, gdzie w parze z muzyką i śpiewem idzie także gra artystów, żywa, ciekawa akcja i zwłaszcza wrażenie optyczne. Reżyseria Janowskiej - Kopczyńskiej trafiła wybornie w ducha epoki, jak i w środowisko mieszczańskie, podkreślając z całą powagą... groteskowość szeregu scen i momentów. Wśród pań walczyły o prymat Dudicz - Latoszewska, Fedyczkowska, Musielewska i Janowska - Kopczyńska. Zostawiam je w tej kolejności, stwierdzając, że tak głosowo jak i pod względem gry stworzyły pierwszorzędne kreacje. Czterech basów: W. Szpingier, Cirin, Warcholewski i Urbanowicz, wraz z Peterem i Gruszczyńskim stanowiło obsadę męską. To samo, co do pań, odnosi się i do nich. Poza tym widzieliśmy jeszcze wznowienie „Cyganerii" Pucciniego w nowej inscenizacji i gościnny występ słynnej śpiewaczki Conchity Velasquez w roli Carmen, która potrafiła zachwycić nieprzeciętnymi walorami głosowymi.

Muzyka nadal jest dumą Poznania. Zainteresowanie i zamiłowanie do niej budzą rozliczne koncerty, od reprezentacyjnych symfonicznych na popularnych — organizowanych po przedmieściach — skończywszy. — Jednym z solistów był Lance Dossor, odznaczony na konkursie szopenowskim. Brakowało mu jednak do mistrzostwa dużej dozy temperamentu. Słyszeliśmy także nowe kompozycje Nowowiejskiego — wstęp do „Syna marnotrawnego" i oprócz tego wielkie oratorium „Quo vadis", które jasno tłumaczą ogromną popularność jednego z największych naszych kompozytorów. Dodajmy tu jeszcze koncert muzyki dawnej, zorganizowany z imponującym rozmachem przy udziale wybitnych solistów z kompozytorem Poradowskim na czele, szereg dalszych imprez, występ wpaniałego chóru Obilić — a otrzymamy obraz naprawdę bogaty, podkreślający prężność Poznania jako środowiska muzycznego.

W salonach Tow. Przyjaciół Sztuki i w „Salonie 35" miały miejsce liczne wystawy obrazów i rzeźb. W T. P. S. P. ostatnio wystawiał Wł. Roguski, uczeń Kotarbińskiego i Pankiewicza, który czerpie na ogół motywy z sztuki ludowej. Ponad to Wł. Marcinkowski wystąpił z rzeźbami, stawiającymi go wysoko w hierarchii rzeźbiarzy. Zbiorowa wystawa Męciny-Krzesza była także interesującym wydarzeniem. W „Salonie 35" widzieliśmy dzieła Pronaszki, Gotliba i Potworowskiego, a następnie obrazy Oźminowej, artystki poznańskiej, posiadającej wyborną technikę olejną i dużą kulturą.

To byłoby niemal wszystko, co przeżył ostatnio Poznań kulturalny, nie licząc jednak imprez tanecznych, o których niestety — jak widzę — zapomniałem, chociaż podziwiałem zarówno Kreutzberga, jak i balet Parnella, oraz występy trup Cieplińskiego z Buczyńską, Leitzkówną i Hryniewicką.

Szkoda tylko, że w swej kronice muszę być jedynie kronikarzem, posługując się najzwięźlejszymi możliwymi skrótami, gdyż poznańskie życie kulturalne wymaga barwnego, o wiele, wiele szerszego opisu.

Alfred Kowalkowski.

NOTATKI

Piętnasty tom *„Slavia Occidentalis"*, rocznika poświęconego badaniom zachodniej słowiańszczyzny przynosi m. in. rozprawy prof. Mikołaja Rudnickiego (naczelnego redaktora) jak „Studia nad nazwami rzek lechickich", „Die Haven, Kelten und Germanen im Bassin des Baltischen Meeres zu Begiun der indseuropäischen Ära", T. Milewskiego: „Przyczynki do gramatyki pruskiej", J. Morawskiego: „Polono-Romanica" itd.

Czasopismo to, wydawane przez Instytut Zachodniosłowiański Uniw. Pozn., przedstawia się skutecznie zapędom germanizatorskim nauki niemieckiej na nasze ziemie i wnosi do nauki polskiej duży dorobek twórczy. Odważnie polemizuje z kuźnicami w Berlinie, Gdańsku, Wrocławiu i Królewcu. Do zaprenumerowania w firmie Gebethnera i Wolffa.

KSIĄŻKI I PISMA NADESŁANE

Gustaw Morcinek: **„Serce za Tamą"**. Nowele. Wydanie drugie zmienione. Poznań. Księgarnia św. Wojciecha.

Józef Kisielewski: **„Powrót"**. Powieść. Poznań. Księgarnia św. Wojciecha.

Józef Birkenmajer: **„Strach na Wróble"**. Kraków. „Głos Narodu".

„Rocznik Kasprowiczowski". Poznań. Nakładem Zarządu Miejskiego w Poznaniu.

„Dzieła Wyczółkowskiego". Bydgoszcz. Muzeum Miejskie.

Stanisław Przybyszewski **„Listy"**. Tom I. Zebrał, życiorysem, wstępem i przypisami opatrzył — Dr Stanisław Helsztyński. Gdańsk. Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki.

„Listy Elizy Orzeszkowej". — Tom I. **Dwugłosy.** Nakł. Tow. im. Elizy Orzeszkowej. Warszawa — Grodno.

Ks. Tad. Kruszyński: **„Francuska skrzynka z kości słoniowej"**. Warszawa. Wydawn. Zakł. Architekt. Polskiej i Hist. Sztuki Polit.

Władysław Kozicki: **Henryk Rodakowski.** Lwów. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich — z zasiłkiem Funduszu Kultury Narodowej.

„Vexillum Resurrectionis". Rzym. Czasopismo Zgromadz. Zmartwychwst. Pańskiego.

„Ziemia Leszczyńska". — Kwartalnik. Leszno. Księgarnia A. Krajewicza.

„Teka Pomorska". Toruń. Wiosna 1937. Wydawn. Konfraterni Artystów w Toruniu.

„Wzloty". „Dwutygodnik poświęcony literaturze i kulturze." Przemyśl.

Wiesław Strzałkowski: **„Wjazd na Połów"**. Warszawa. Inst. Wyd. Bibl. Polska.

Karol Junosza - Szaniawski: **„W Promieniach Półsłońca"**. Poezje. Zakł. Graf. Biblioteka Polska.

Antoni Kawczyński: **„Dannemora"**. Powieść. Wydawnictwo St. Dippla w Poznaniu.

Stefan Balicki: **„Ludzie na zakręcie"**. Powieść. Wyd. St. Dippla w Poznaniu.

Tadeusz Łopalewski: **„Prawo Przyjaźni"**. Powieść. Wyd. St. Pippla w Poznaniu.

OD REDAKCJI

Niniejszy zeszyt „Wici" ukazuje się z dużym opóźnieniem. Przepraszamy naszych Czytelników za tą zwłokę, spowodowaną trudnymi warunkami wydawniczymi, z jakimi borykać się u nas musi pismo literackie, pozbawione jakichkolwiek pomocy i subwencyj a zdane wyłącznie na własne siły. By wypełnić lukę powstałą przez dłuższą zwłokę wydamy następny numer „Wici" już w najbliższym czasie. Przyniesie on artykuły i wiersze: Józefa Brzezińskiego, Mieczysława Dereżyńskiego, Juliana Szpunara, Alfonsa Szyperskiego, Stanisława Helsztyńskiego, Kazimierza Lewandowskiego, Janiny Deryniżanki, Bogdana W. Zakrzewskiego, Alfreda Kowalkowskiego, Tadeusza Nowakowskiego i innych.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł
Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.
Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.
Redakcja: Poznań, ul. Marcelińska 6 m. 1 — Przedstawiciel redakcji Alfred Kowalkowski.
Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński, ul. Grottgera 19 m. 13 — Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.
Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200 057.